

Kiedy u nas o zmroku...



ELIZA ORZESZKOWA

Kiedy u nas o zmroku...

Na Anioł Pański dzwonią! Dzę-dzę! dzę-dzę! Jakby w powietrzu aniołowie w srebrne skrzydła uderzali! Kto to tak mówił? Kiedy? Co mi to przypomina? A! wiem już, pamiętam! Spotkanie dziwne... strofa daleka...

...Od kilku tygodni byłem mieszkańcem cudzoziemskiego miasta, w którym zająłem pozycję pod każdym względem świetną, i zachodziło ze mną coś wcale niespodziewanego. Pozycja moja była pod każdym względem świetną, a ja sam stawać się zaczynałem państwą melancholii. Nic zresztą bardzo dziwnego. Zajęcia moje nie posiadały horyzontów, po których myśli bując mogą ze swobodą i szerokością orlą; zyskowe były, ale nudne, oschłe i nie wolne od tej cliwej przyprawy, którą sporządza wątpliwość: czy użytek czyniony z życia jest dobry, albo zły? Jeszcze nie zupełnie oschło mi było na wardze mleko mrzonek idealistycznych, którym poi się pacholeństwo, a jakkolwiek, pod wpływem złych dni przeżytych i dobrych rad usłuchanych, wszedłem już był na tory życia rozsądne, praktyczne, to jednak niezupełnie jeszcze odczyłem się zapytywać u wszechświata i wszechstworzenia: czy jest co ponad... półmiskami? W gruncie rzeczy pewny byłem, że jest, i pewność ta, pod gruzowiskiem przeciwnych sofizmatów, leżała na dnie świadomości mojej, milcząc, lecz wydając z siebie niesmak, przeszkadzający w delectowaniu się tem, co było na półmiskach. Oprócz tego, miejsce obce, ludzie nieznanymi lub wczoraj zaledwie poznani, samotność myśli, nie mającej z kim dzielić się spostrzeżeniami, sieroctwo wzroku, zaledwie poczynającego orientować się wśród zjawisk nowych, ani osobliwych, ani pięknych, ani miłych... Miasto duże, ale zbudowane niedawno i w sposób niezmiernie pospolity: proste i długie ulice, proste i długie rzędy kamienic, z prostymi i długimi szeregami okien. Historyi nie było tu wcale, artyzmu bardzo mało, życie towarzyskie takie właśnie, do jakiego nigdy pociągu nie uczuwałem, to jest: huczne, szumne, balujące, tańczące; ruch interesów handlowych, biurowych, fabrycznych — ogromny, bogactwo po magazynach i salonach wielkie — w wyniku ostatecznym: nuda i tęsknota. Zaczem tęsknota? Czy ja wiem? Za czemś tak innym niż te ulice, kamienice, fabryki, magazyny, salony i moje własne zajęcia. Zająć tych i tego wszystkiego, co wzamian ich otrzymałem, nie wyrzekłbym się był za nic w świecie, a to, że mi się w ręce dostały, poczytywałem za wielce przyjazny uśmiech losu; jednak, zamiast uśmiechu, czułem w głębi samego siebie ustawiczną, obecność jakiegoś kamienia. Takim to jest człowiek! Ze stękającą zagadką najsprzeczniejszych potrzeb i pożądań, przewraca się on na łożu swoich własnych tworzydeł, nie wiedząc, na którym boku leżeć, bo każdy po swojemu boli!

Ludzie, uczuwający w sobie obecność ciężkich kamieni, posiadają najczęściej tę wspólną właściwość, że błąkają się. Gdy tylko mają trochę czasu, zaczynają błąkać się po różnych miejscach, bez potrzeby i celu. Można widzieć ich i rozpoznawać, gdy krokiem powolnym idą to tu, to tam, to w jedną stronę, to w drugą, na nieznanym im jeszcze ulicę, ku gmachom publicznym, ku rynkom ludnym, ku samotnym kupkom drzew, rosnących na polu. Idą bez pośpiechu, wracają bez pociechy, a gdy tylko mają czas, idą znowu, niekiedy w te same miejsca, najchętniej przecież w coraz inne, zaledwie spostrzegając otoczenie, do którego przywiodły ich kroki, wahające się i obojętne. Podobne to jest nieco do zygawkowatych biegów zwierzęcia, szukającego po trawach lekarstwa na dręczącą go chorobę. Człowiek zresztą nie zawsze tylko szuka tego, czego nie zgubił, ale też często próbuje zgubić to, czego nie szukał.

Gdy tylko zajęcia liczne i ważne pozostawiały mi trochę wolnego czasu, najchętniej używałem go na błąkanie się — i dnia pewnego zabląkałem się aż na pole, otaczające miasto. Był to raczej step bezgraniczny, wypalony przez świeżo przeminione skwary letnie, i na żółtem, gładkiem, pustym obliczu posiadający uśmiech jedyny, którym była samotna kupka drzew, oblana w tej chwili szkarłatem i złotem zachodzącego słońca. Cisza wiała stamtąd, samotność od świata daleka, spokój, w którym żaden liść nie szeleści. Pomędzy szkarłatnymi i złotymi liśćmi majaczyły czarne linie, zdaleka niewyraźne, lecz niebawem rozpoznałem, że były to krzyże — cmentarz zapewne. Na prowadzącej ku niemu drodze, mało znać uczęszczanej, w żółtych zielskach i uschłych badyłach wił się biały szlaczek wydeptanej ścieżki. Zaczęłem więc się razem ze ścieżką, i zaraz spostrzegłem, że czynię to nie sam jeden. O kilkadziesiąt kroków przedemną szła kobieta, której piękną kibić i elegancję ruchów, natychmiast po dostrzeżeniu jej, podziwiać zacząłem. Z przedziwną gracyą unosiła nad zielskami suknię czarną, której jedwabny szeleścik ucha mego dochodził. Cała była ubrana w czerni, i bez wielkiego wytężenia wzroku dostrzegłem, że włosy nawet, z pod koronek kapelusza, w czarniejszych jeszcze od nich splotach, opadały jej na plecy. Kibić, ruchy, ubranie, sposób podnoszenia sukni objawiały kobietę wytworną, elegantkę. Dlaczego znajdowała się w czystym polu sama jedna? Może, tak jak ja, błąkała się? Lecz z kobietami zdarza się to rzadko. One, ilekroć czują w sobie obecność kamieni, idą śpiewać nad kołyską dziecka, lub mizdrzyć się przed zwierciadłem, lub jeżeli płaczą, to w takim ukryciu, aby oko żadne nie widziało, ucho nie słyszało. Ta przecież może stanowi wyjątek i błąka się... Wyprzedzając mię o kilkadziesiąt kroków, szła prędzej odemnie, więc też wkrótce znikła mi z oczu, zanurzwszy się w kupce szkarłatnych i złotych drzew. Muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że gdy w niewiele minut potem wchodziłem pomiędzy te same drzewa, już ani o niej, ani o niezawodnej obecności jej w tem miejscu nie myślałem wcale.

Cmentarz to był z krzyżami takimi, jakie są w moim kraju, i z napisami na grobowcach w mojej ojczystej mowie. Nie zdziwiłem się, bo wiedziałem o istnieniu w tem mieście garści ludzi jednego ze mną rodu, a skoro istnieli, musieli przestawać istnieć i musiało być wszystko, co potem następuje. Lecz rozglądając się po drzewach, ukolorowanych przez jesień, a roziskrzonych przez zachodzące słońce, zapytywałem w myśli: kto i kiedy zasadzał je w pustym stepie, aby nad prochami przybyszów z ziemi dalekiej rozwieszały baldachim z purpury i złota? Jak okiem zarzucić, nic, tylko step niezmierny, pusty, żółty i ten na nim bukiet liściasty, pełen drobnych pagórków na dnie, a u szczytu rozpiętych ramion krzyżów. Na krzyżach, na białych, czarnych, szarych grobowcach — nazwiska, pomiędzy którymi było wiele znanych mi, zasłyszanych, wiadomych, imiona takie, do których piieszczotliwego odmieniania miałem nawykłe usta; gdzieniegdzie werset biblijny, wierszyk sentymentalny, krótkie wołania o modlitwę. Po trawach, świeższych niż w nagiem polu, biegły, okrążając mogiły, ścieżki wydeptane, wszędzie rosły krzewy z rzadkim już liściem, lecz wzamian pełne na wpólnagich gałęziach nasion, którym podobne oko moje spotykało już kiedyś, kędyś, na jakichś dalekich polach, drogach. Jagody, czerwone, przypominające kalinę i jarzębinę, albo białe jak śnieg i do kulek ze śniegu podobne, strąki, jak z hebanu, czarne i twarde... Nagle spostrzegłem, że pomiędzy mną i otoczeniem mojem toczyć się zaczęła rozmowa bez słów. Ja wprawdzie zapytywałem czasem w myśli: gdzie? kiedy? co to? kto? — lecz ono nie wymawiało żadnego wyrazu i tylko w panującą tu ciszę głęboką lało mnóstwo dźwięków niewyraźnych, ech rozwiewnych, powiewów, lecących to od wiosny przeminionej, to od zimy dostrzeżonej, — czy ja wiem zresztą? — coś, czego wyrozumieć niepodobna, lecz co łaskotało mi serce pocałunkami rzeczy dawnych, znanych, kochanych, przeminionych, opuszczonych, przypominających się pośród grobów...

Wtem, wśród ciszy niezmiernej, w rozmowę bez słów moją i otaczających mię przedmiotów wmieszał się wyraźny odgłos płaczu. Mogło się zdawać, że z ust zakłętego tu ducha smutku spadł tłumik i wybuchnęły z nich długo więzione łkania. Ktoś niewidzialny, lecz bardzo niedaleki, namiętnie płakał. Może pomocy potrzebował, tem bardziej, że płacz wydawał się kobiecym. Kilkunastu krokami okrążyłem gęsty klomb drzew i krzewów, aż zobaczyłem grobowiec wspinały i u stóp jego płaczącą kobietę. Grobowiec był z czarnego marmuru, wyniosły, poważny, bardzo kosztowny, a na dźwigającym krzyż czarnym postumencie jego krwawił się pęk świeżych gwoździków i begonij. W kobiecie

placzącej poznałem tę samą, która mię przed kwadransem na ścieżce do cmentarza poprzedzała. Twarzy jej widzieć nie mogłem i teraz, bo ukrywała ją — w chustce cienkiej i małej, z pod której wyciekające łzy padały na pierś, oblaną wodnymi wzorami czarnej mory. Ręką w długiej, modnej rękawicze, ścisnęła mosiężny pręt ogrodzenia, lecz oparcie to nie wystarczało do utrzymania w spokoju kibici, wstrząsanej głębokim płaczem. Nad czym grobem kobiety tak płakać mogą? Męża? kochanka? syna? Rzuciłem okiem na napis grobowca. Imię i nazwisko kobiecie; umarła, mając lat 54. Matka! pomyślałem i nie miałem czasu na domysły dalsze, bo kobieta z piękną kibicią, w bogatym, czarnym ubraniu nagle przestała łkać i pochyliła się ku ziemi. Uczyniła wysilenie, aby wyprostować się i — nie mogła; chciała powstać, nie mogła; ręka jej bezsilnie osunęła się z mosiężnego prętu, czoło dotknęło marmurowej podstawy ogrodzenia. Może zemdlą? Znajoma, czy nieznajoma, ceremonie na bok! Poskoczyłem i, schylając się nad nią, zcicha zapytałem, czy nie potrzebuje pomocy? Może ramię podać? albo wody przynieść? Ostatnie zapytanie było wśród tej absolutnej pustki absolutnie próżnym, ale myślałem tylko o tem, aby czemkolwiek być jej pomocnym. Na szczęście nie była zemdloną. Zwolna podniosła głowę, obróciła ku mnie twarz zapłakaną i spróbowała uśmiechnąć się.

Czy ktokolwiek zauważył, że istnieje cała kategoria kobiet, które, złapane na gorącym uczynku płakania wnet próbują uśmiechać się. Jest to zalotność, całą potęgę swą widząca w rozweseleniu świata, albo nieufność, wiedząca, że ból jej serca na żadnym innym sercu nie zacięży. Ta, ujrawszy nieznanego świadka swego płaczu, spróbowała uśmiechnąć się, potem powstać, ale na jedno i drugie siły jej zabrakło. Podałem jej obie ręce, oparła na nich swoje i powstała, poczem zaprowadziłem ją do wygodnej ławki, naprzeciw grobowca umieszczonej, na której usiedliśmy oboje. Nie mogłem przecież w stanie, w jakim się znajdowała, zostawić jej samej jednej pośród grobów. Przez parę minut mokrą chusteczką zasłaniała twarz i odwracała ją odemnie, wstydząc się może płaczu swego, albo nie chcąc ukazać zapłakanych oczu. Potem bardzo cicho wymówiła:

— Dziękuję!

A ja na jeden tylko wyraz zdobyć się zdołałem. Wskazując grobowiec, tonem zapytania wymówiłem:

— Matka?

W brzmieniu głosu mego musiało być to współczucie, które było w sercu, bo opuściła rękę z chusteczką i po raz pierwszy zwróciła ku mnie twarz, pomimo zapłakania piękną. Śniadawa brunetka, z rysami może nie doskonale regularnymi, ale z cerą delikatną i cudnymi oczyma, świecącymi, jak szafiry w oprawie podłużnej, pod czarnymi łukami gęstych brwi. Wiek jej określiłem sobie na lat około trzydziestu.

— Tak — odpowiedziała zcicha — to jest mogiła mojej matki.

I zaraz dodała:

— Jaki pan dobry!

— Musiałbym być chyba niepospolicie złym, gdybym nie współczuł wielkiemu żalowi pani...

Smutnie skinęła ręką.

— Już teraz, to nic! Przywykłam. Życie, jak rzeka, toczy się, szumi, a my, jak listki, płyniemy na niem coraz dalej, coraz dalej od tego, co za nami zostało...

Głos jej zadrżał znowu, oczy nabiegły łzami.

Podchwyciłem i dokończyłem myśl jej:

— W szumie życia milkną bóle nasze...

— Ani zupełnie, ani na zawsze nie milkną — zaprzeczyła — powracają, odzywają się, ale w przestankach...

Urwała; w nawpół spuszczonej jej oczach błysnęło coś naksztalt ironii.

— Człowiek jest niepospolicie marnym...

— Sąd surowy! — zarzuciłem.

— O samej sobie go wydaję. Prawdziwy.

Oczy jej roziskrzyły się nagle.

— Przecież ja byłam pewną, że jej nie przeżyję, albo przynajmniej, że moje życie będzie już zawsze tylko torturą i żałobą... A potem!

Znowu nie dokończyła i uczyniła ręką gest pogardliwy.

— Wpływ czasu, musu, konieczności... — zacząłem i zapytałem: czy dawno to się stało?

— Wkrótce skończy się trzy lata... W taki piękny zimowy dzień. Słońce świeciło nad ziemią całą, białą od śniegu... Ale po co ja panu to mówię? Co to pana może obchodzi?

— Niezmiernie obchodzi. Czy pani nie czuje, że, pomimo pierwszego spotkania, nie jesteśmy dla siebie obcy?

— Tak, tak! — potwierdziła; to prawda! To tak rzadko się zdarza...

— Co?

— Żeby ludzie nie czuli się sobie obcymi.

Teraz ja potwierdziłem:

— To prawda.

Jakieś tajemnicze wspólności myśli i uczuć szybko zadzierzgiwały pomiędzy nami węzeł zaufania.

— Musiała pani wiele cierpieć! — zauważyłem.

Wzruszyła ramionami.

— Żebym na to pytanie odpowiedziała komu: tak! niktby nie uwierzył. Niktby nawet nie zapytał mię o to, tak się to wydaje nieprawdopodobnym. Bo człowiek bywa czasem zupełnie do samego siebie niepodobnym...

— A może raczej w człowieku bywa dwóch ludzi do siebie niepodobnych?

— Może i tak. A pan ma jeszcze matkę?

— Nie mam już, pani. Daleko stąd jest taki cmentarz wiejski, na którym przed kilku laty spoczęła i nad którym codziennie, o zmroku, drewniana kapliczka na Anioł Pański dzwoni.

— A nad moją nie dzwoni! — szepnęła.

Zaczęła zapytywać mię o moją matkę, o powierzchowność jej, charakter, wiek, w jakim umarła. Odpowiadałem zrazu dlatego tylko, aby jej dogodzić i zwierzeniami odpłacić niejako za zwierzenia, lecz potem, coraz więcej, coraz więcej zbliżało się do mnie widmo z przeszłości niepowrotnej i mówić o niem zacząłem tak, jak do siebie samego tylko mawiać zwykłem. Mówiłem o rzeczach tak wielkich i rzadkich, jak cześć i wdzięczność, tak nieskończenie słodkich, jak zaufanie bezgraniczne. Gdy umilkłem, ona mówić zaczęła:

— Ja także, ja także przed nią jedną nie miałam nic skrytego. Jej oko szło mi w głęb. Wszystkie oczy ludzkie ślizgają się tylko po naszej powierzchni, bo każdy w samego siebie patrzeć najlepiej lubi. Jej oko patrzyło we mnie pilnie, troskliwie, czy tam czasem co nie boli, czy czego nie potrzeba, czy czego złego niema. Przed takim okiem odsłaniać duszę — szczęście! Wszystko wiedziała o mnie, aż do dna... Kiedy pokazywałam jej każdy promyczek myśli, każdą iskierkę uczucia, byłam pewna, że roztargnionego wzroku w drugą stronę nie obróci, ani obmówi, ani wyśmieje...

— Tak! — potwierdziłem — takie kochające serce nie powie drugiemu sercu: „zabawne jesteś! niewiedzieć czego ci się zachciewa!”, bo samo żąda dla niego wszystkiego, choćby niepodobieństwa...

— To prawda! A jakie oczy miała matka pana? bo moja szafirowe, tak szafirowe...

— Jak pani?

— Gdzież tam, daleko piękniejsze i z takim wyrazem...

— Żrenice mojej matki były przy końcu życia blade i przygasłe, bo wiele płakała.

— A moja! Co pan myśli, ja sama ile namartwiłam mamę! Najprzód ten wyjazd mój z mężem, tak daleko, wiele ją kosztował; a potem, dlatego, aby żyć ze mną, musiała porzucić wszystko i wszystkich, i tęskniła, tęskniła... Zresztą ja wcale aniołem nie jestem... o, nie! A ona wszystko widziała, co we mnie było i lękała się... przestrzegala, gromiła czasem i gryzła się... Każdy ma swoją miarę cierpienia, i ona miała swoją, do której ja sama niejedną kroplę dołałam. A pan?

Zrozumiałem o co pytała; parę wydarzeń, które wszelkim kosztem pragnąłbym z życia wykreślić, przesunęło mi się przez pamięć i odpowiedziałem zcicha:

— Każdy ma swoją miarę win!

Z jednej strony wspaniałego grobowca i ławki, na której siedzieliśmy, stała nieprzebita gęstwina liści pomarańczowych i brunatnych, w których igrało złote słońce; z drugiej, przez wązki otwór ukazywała się przestrzeń blada i pusta. Myślałem o dziwnej grze losu,

który dwoje dzieci dalekiej ziemi rzucił na step błądy, pusty, aby wśród garści drzew i grobów rozmawiały o swych pomarłych matkach i popełnionych winach.

Wkrótce zaczęliśmy mówić o czym innym.

— Powiedział pan: na wiejskim cmentarzu. Czy pan urodził się na wsi? W jakich stronach? Czy dawno pan je opuścił?

Byłem z rodu wieśniakiem, jednym z tych, którzy w dzieciństwie wyciągają ręce do klekocących na gniazdach bocianów, a w latach późniejszych, wśród miejskich turkotów, śnią czasem o gankach, opartych na białych słupach, i o cichych pokojach pod niskimi sufitami, z ćwierkaniem świerszcza w kącie. Strony, w których się urodziłem, były bliskie jej stron rodzinnych, opuściłem je niedawno. Ona nie była w swoich, odkąd ośmnastoletnią uwiózł ją mąż za rzeki, za lasy. Zaczęła więc dopytywać się i sama opowiadać. Mówiliśmy o wsiach i miastach, o ludziach i rzeczach, o domach, drogach, rzekach, topolach, bocianach, jaskółkach, o stawach, emaliowanych w złote i śnieżne grzebienie, o lasach, nabrzmiałych woniami żywicy i czombu, o wiankach z bławatków, wiszących na krzyżach przydrożnych. Zapytywała, opowiadała, porywała mię za sobą w echowy odmet wspomnień. Z za rzek i lasów, z za gór i stepów przylatywały ku nam promienne mary na skrzydłach grających, w sukniach, osypanych sosnowem igliwem i rosą, w wieńcach z kłosów na głowach. Oczy jej rozbłysły, wargi zaszły gorącym karminem, uśmiechy, jak geniuszki, to figlarne, to rzewne przewijały się po twarzy — i znikwały spłoszone westchnieniem. Naprzód nieco pochylona, wpatrzyła się w grobowiec.

— Z nią jedną mówiłam często o tem wszystkim, z nią jedną...

Poczem zaczęła opowiadać:

— Wkrótce skończy się trzy lata. W taki piękny zimowy dzień... Śniegu było pełno na ziemi, na drzewach, na dachach... słońce świeciło... Kiedy to już stało się, prosiłam wszystkich, aby zostawili mię przy niej samą jedną, ale długo nie chcieli, dopóki prosiłam, nie chcieli. Stłoczyli się wkoło mnie i pocieszali, a mnie od tego ich pocieszania chciało się przez okno wyskoczyć. Więc zaczęłam krzyczeć, że jeżeli nie pójdą sobie i nie zostawią mię przy niej samą jedną, wyskoczę przez okno, albo otruję się, czy cokolwiek podobnego... Wtedy powychodzili wszyscy. Bo z ludźmi zawsze tak: dopóki ich lubić, pieścić, prosić, wszystko nie po twojemu, ale po swojemu robić będą; dopiero jak w złość wpadniesz, krzykniesz, odepchniesz, zaczną łasić się i dogadzać...

— Ciemny pogląd na ludzi! — zauważyłem.

Z pod długich powiek rzuciła na mnie wejrzenie, w którym, nie po raz pierwszy już, spostrzegłem błysk ironii.

— A pan myśli, że to są jasne anioły? — zapytała.

I ręką w długiej rękawiczce uczyniła gest lekceważący.

— Bóg z nimi!

Zamyśliła się, ze spuszczonej powiekami milczała, ale ja pragnąłem dalszego ciągu opowiadania:

— Dlaczego pani chciała koniecznie pozostać tam... samą jedną?

— Dlaczego? Napozór dla niczego. Ale co dla jednego wydaje się niczem, dla drugiego bywa wszystkim. Dla mnie ostatnia rozmowa z nią sam na sam była wtedy wszystkim. Kiedy już powychodzili, skoczyłam do łóżka, na którym leżała, usiadłam bliźniętka, wzięłam jej zimne ręce w swoje obie i zaczęłam mówić: „Widzi mama, jaki dziś cudny dzień... Niech mama spojrzy... taka śliczna zima, cała w bieli i brylantach. U nas też pewnie tak samo biało, tylko mniej zimno. Na naszych drzewach, tych, co mama wie, tak samo szron błyszczy... w naszej wiosce, tej, takiej długiej, długiej, dzieci chłopskie saneczkami jeżdżą... a ty, mammo, już tego nie zobaczysz nigdy... nigdy... z naszych kominów płyną do nieba dymy, w mrozie takie różowe... różowe... ty, mammo, już ich nie zobaczysz... Przyjechałaś tu do mnie, wyrzekłaś się wszystkiego dla mnie i już oczy zamknęłaś na wieki, na wieki... a naszej zimy nie widziałaś, i już nie zobaczysz nigdy!” Tak ja do niej mówiłam, w zimne ręce i nogi ją całując i płacząc, ale po cichu, bo bałam się płakać głośno, aby ludzie zaraz nie ponalazili, nie przeszkodzili...

I teraz zapłakała znowu, krótko, cicho, a potem, odwrócona odemnie, patrzyła oczyma łzawymi w gęstwinię liści.

— Bo widzi pan, ja i ona lubiliśmy bardzo naturę, więcej nikt wkoło nas ani myślał jej lubić, tylko ja i ona. Wspominaliśmy też często o swoich stronach; więcej nikt ani myślał wspominać, tylko my, we dwie, ja i ona, bardzo często... Więc i wtedy, objawszy ją za szyję obu rękoma, ciągle mówiłam: „Pamięta mama? pamięta mama?” I to, i tamto, i dziesiąte, i dwudzieste, z dzieciństwa mego, z naszej wioski, z naszego starego domu, z czasu, kiedy ojciec żył jeszcze, siostry były małe i wszyscy byliśmy tam... razem! I co pan myśli? Zdawało mi się... teraz wiem, że zdawało się tylko, ale wtedy byłam pewna, że ona słyszy to, co do niej mówię, że blade usta jej uśmiechają się, że powieki mrugają, jakby mówiły: „tak! tak!” Potem wieczór nastawać zaczął, a ja, widząc, że zmrok zapada, zaczęłam mówić: „Kiedy u nas o zmroku na Anioł Pański”... Bo muszę powiedzieć panu, że mama ogromnie lubiła muzykę dzwonów kościelnych i ja także, ale ona więcej jeszcze odemnie, i gdy tu przy mnie zamieszkała, o każdej prawie szarej godzinie, stojąc przy oknie, albo z fotelu swego na okno patrząc, mówiła do mnie: „kiedy u nas o zmroku na Anioł Pański dzwonią, jakby w powietrzu aniołowie w srebrne skrzydła uderzali: Dzę-dzę! dzę-dzę! dzę-dzę!”... I tak już byłam do tego przywykła, że gdy tylko mama zacznie: „kiedy u nas o zmroku”, ja podchwytuję i kończę: „Dzę-dzę! dzę-dzę!” Bo nieprawdaż, panie, że u nas tak dzwonią? My z mamą kiedyś tego razem słuchały, a gdy nie mogłyśmy słuchać, wspominały... Teraz tu przychodzę czasem... tylko czasem, ale zawsze nad wieczór i nigdy od jej mogiły nie odejdę bez przypomnienia jej i sobie: „kiedy u nas o zmroku”..

Znowu na placz jej się zbierało, usta drgały, powieki nabrzmiewały, ale powściągnęła się i przezwyciężyła. Stopą drobną i wykwintnie obutą uderzyła o ziemię.

— Boże! jak ja się dziś rozmazgailam! To pewnie dlatego, że nie byłam tu już od bardzo dawna, i że pan taki dobry... Za swoją dobroć każdy musi być ukarany... ja pana lamentami swymi zanudzam, nieznajomego...

Wstałem, z ukłonem powiedziałem jej swoje imię, nazwisko, czem się w tem mieście trudnię i, znowu siadając przy niej, zcicha rzekłem:

— Powiedziała pani kilka razy: „tylko z nią! tylko ja i ona!” A mąż pani?

Mówiłem zcicha, czując, że zaczepiam o strunę, która albo mi nie odpowie, albo nawet odtrąci rękę zuchwałą. Odpowiedziała jednak, nie słowami wprawdzie, lecz gestem, mogącym oznaczać zniechęcenie i zwątpienie.

Ośmielony, zapytałem jeszcze:

— Czy nie jest pani kochaną?

Jakby samo to przypuszczenie wydało się jej śmiesznem, zaśmiała się.

— Owszem! ależ owszem!

W oczach jej przemknął znowu błysk ironiczny.

— Tylko, że te kochania na świecie, to najczęściej... Z gestem pogardliwym i ściągniętymi brwiami dokończyła: — Taka rzecz marna, płytka...

— Rzadko zdarza się — podjąłem — aby człowiek kochał innego człowieka dla niego samego. Najczęściej kochamy dla własnej przyjemności...

— I chluby! — dokończyła z krótkim, trochę przykrym śmiechem.

Potem jeszcze zapytała:

— Czy pan zauważył, jak ludzie kochający rzadko współczują tym, których kochają? Owszem, dopóty kochają, dopóki osoba kochana jest zabawną, ale kiedy przestaje być zabawną — *adieu mon plaisir!* Serce ci zaczem, albo po czem płacze? — to niech nie płacze! Masz wszystko, czego tylko ci potrzeba, i powinnaś być szczęśliwą, a jeżeli nie jesteś, to są kaprysy, przywidzenia, i nie zawracaj mi niemi głowy, bo czasu nie mam...

Nagle obróciła ku mnie twarz i zapytała:

— A panu dobrze tu? Rad pan z tego, że tu przyjechał?

Odpowiedziałem, że i tak i nie, ale więcej nie, niż tak. Zajęć swoich nie lubię i różne tam inne mam wewnętrzne przeszkody do szczęścia.

— Otóż to! — rzekła. Gonisz szczęście przez lasy, przez góry, a ono za dziesiątą granicę od ciebie ucieka! Ale trzeba mi już stąd iść!

Nie szła jednak. Zamyślonym wzrokiem błędziła po drzewach i krzaczach.

— Wie pan, mnie się zdaje, że w tem naszym gonieniu za szczęściem jest jakaś wielka omyłka, i żeby wszystko na świecie było jakoś prościej urządzone, mniej wyszukane, to może...

Powiodłem wzrokiem po jej morowej sukni, po bogatym hafcie okrycia i pomimo woli uśmiechnąłem się. Spozstrzegła to i zaśmiała się także.

— Pan patrzy na moje ubranie i uśmiecha się ironicznie. A jednak nie ma pan racyi wcale. Człowiek, jak koło: w którą stronę popchnięte, w tę toczy się, choćby po grudzie, czy po nagim stepie. Ja wczoraj wróciłam z zagranicy, i okrycie to, na które pan tak ironicznie patrzy, kupiłam w Wiedniu. Mąż mój leczył się w Wiesbaden, poczem zrobiliśmy długą *tournée* po Szwajcaryi i wracaliśmy na Wiedeń, prawie umyślnie...

— Dla kupienia okrycia! — wtrąciłem żartobliwie.

— Prawie umyślnie dlatego. A cóż? Skoro się coś posiada, trzeba sobie tem wynagradzać wszystko, czego się nie posiada.

— Odbyła pani podróż piękną.

— Piękną i wesołą. Wszędzie było pełno znajomych. Wróciłam wczoraj i tak mi było pilno tu przyjść...

Wzrok jej utkwił w grobowcu, usta drgnęły cichym szeptem.

— Do mamy!

Wstała.

— Późno już jest. Trzeba iść.

Nie odchodziła jednak. Wsparta na parasolce, zwojami czarnych koronek opłyniętej, stała z oczyma wlepionymi w grobowiec, a ja, patrząc na jej wysmukłą i kształtną postać, na włosy, jak noc czarne, na oczy, pod ściągniętymi nieco brwiami, mgłą zamyślonej czułości oszklone — myślałem, że gdyby Grecy posiadali w mitologii swej muzę melancholii, mogłaby służyć za wzór do jej obrazu. Stojąc tuż za nią, prawie pomimo woli, zwolna i cicho zacząłem:

— Kiedy u nas o zmroku...

Powolnym ruchem twarz ku mnie obróciła, po ustach jej przewinął się uśmiech, w oczach zaświeciły łzy i głosem, dźwięk dzwonu naśladującym, dokończyła:

— Dzę-dzę! dzę-dzę!

Wyciągnęła do mnie rękę.

— Dziękuję za pomoc i za chwilę... takiej rozmowy. Nie spodziewałam się już... takiej rozmowy z nikim. Dziękuję i dobranoc.

Z głębokim ukłonem rzekłem:

— Jestem ofiarą niesprawiedliwości. Powiedziałem pani o sobie wszystko: jak się nazywam i czem się na tym świecie trudnię, a wzamian nie wiem nic...

Zmieszała się widocznie: może przyszło jej na myśl, że za wiele powiedziała... Namyslała się chwilę, potem rzekła:

— Na co panu wiedzieć: kto jestem i jak się nazywam? Może nie spotkamy się z sobą już nigdy. I wie pan? wołałabym, abyśmy się już nigdy nie spotkali.

— Niezbyt pochlebne dla mnie życzenie...

— Owszem, pochlebne. Czy pan nie zauważył, że wszystko na świecie, im bliżej poznawane, tem mniej piękne. Może jutrujenka i tęcza wydają się nam tak pięknymi dlatego, że są od nas tak dalekie. To nasze dziwne spotkanie było, jak strofa, przybłąkana z pieśni... Niechże więc pozostanie...

— Strofą samotną... — dokończyłem.

— Samotną i od pospolitych piosenek daleką. Dobranoc panu! Dziękuję — za strofę i życzę szczęścia.

Lekkim, zgrabnym, wytwornym swym chodem uczyniła kilka kroków i, raz jeszcze twarz ku mnie zwracając, zawołała:

— Z całego serca życzę!

Wśród drzew zniknęła. Pragnąłem, lecz nie śmiałem iść za nią. Może zresztą miała słusność. Wszystko na świecie, im bliżej poznane, tem mniej piękne. W mieście, posiadającym kilkaset tysięcy mieszkańców, spotkać się po raz drugi nie łatwo. Niechże więc strofa pozostanie samotną — i od pospolitych piosenek daleką.

Ciemniało. Wśród spalonego stepu, w bukiecie drzew i krzyżów, zmrok gasił na czarnym marmurze grobowca krwistą czerwoność gwoździków i begonij.

Miesiące upływały. Powoli odbywał się proces stapiania się mego z otoczeniem, odbywał się jednak — i zaczynałem znajdować w tutejszem życiu swoim to taki, to inny

urok. Powodzenie w zajęciach fachowych, trochę złota w kieszeni, trochę pochwał, głaszczących miłość własną jakieś oczy kobiece, nie słonecznym wprawdzie, ale fosforycznym blaskiem jaśniejące... Obecność kamienia na dnie piersi uczuwałem coraz rzadziej, błąkałem się coraz rzadziej, a potem i zupełnie błąkać się przestałem, do czego przyczyniła się zima ostra, z bardzo silnymi mrozami. Jeżeli zrazu wracałem jeszcze do przyzwyczajenia tego, to tylko wśród tłumnych i hucznych zebrani towarzyskich, których dość długo polubić nie mogłem. Miałem snadź w naturze swojej coś śmiesznie idyllicznego, czy pasterskiego, co mi te zbiorowiska ludzi obcych i po części nawet nie lubiących się nawzajem — czyniły czemś fałszywym i niemiłym. Nie tańczyłem i w karty nie grałem, więc z początku na tych wielkich świetnych zebraniach tułałem się z jednego salonu do innego, od jednej osoby do innej, krótsze lub dłuższe stacye odbywałem w różnych drzwiach i framugach, przy różnych stolikach, przed zdobięcymi ścianami obrazami, nudziłem się wściekle i byłem pastwą myśli, których nawet opowiedzieć nie mogę, bo wstydzę się ich, jako nierozsądnych. Wkrótce jednak powiedziałem sobie, że tak zawsze być nie może, że raz przecie trzeba stać się zupełnie podobnym do wszystkich i spróbowałem grać w winta. Nie święci garnki lepią. Poszło z tem odrazu niezłe, a im dalej, tem lepiej. Więc i na zabawach rozmaitych przestałem błąkać się, bawiąc się często wcale dobrze, tem bardziej, że nierzadko zdarzało się i porozmawiać bardzo przyjemnie z jaką ładną i miłą damą, albo z jakim biegłym i wymownym politykiem lub fachowcem. Bywałem zaś na różnych zebraniach takich: wieczorach, rautach, balach, dość często, bo tak wypadalo, bo tak pozycya w świecie i interesy moje nakazywały, bo nakoniec i wint pociągał coraz więcej.

Raz znalazłem się na balu w domu jednego z najwyższych, może nawet najwyższego dostojnika tego miasta i, oczekując na złożenie się partyi wintowej, przyjemnie spędzałem czas na rozmowach z kilku bardzo grzecznymi i dowcipnymi damami, gdy nagle spostrzegłem coś, co mię bardzo żywo zajęło. Znajdowałem się w sali do tańca, obszernej i rześńście oświetlonej. Muzyka grzmiała, tańce tylko co się były rozpoczęły, gdy tuż przedemną przesunęła się w walcu kobieta, za którą wiodłem wzrokiem tak długo, dopóki tylko mogłem, to jest, dopóki nie zniknęła w tłumie tańczących. Moznaby powiedzieć, że nie była to kobieta, tylko jakiś kwiat wysmukły, białością olśniewający, a płomieniem owinięty. Później dowiedziałem się, że barwa, którą miała jej suknia, nazywa się *flamme*, ale wtedy, nie wiedząc jeszcze o tej nazwie, pomyślałem: płomień! Oprócz sukni koloru *flamme*, miała włosy ognisto-rude i na głęboko obnażonych, alabastrowo białych ramionach roziskrzoną tęczę brylantowego naszyjnika. U szczytu wysoko upiętych włosów ognisto-rudych jaśniał przezczystą bielą wielki kwiat orchidei, drugi taki sam tkwił u płomiennego stanika. Sama wyglądała na orchideę delikatną a przepyszną, wysmukłym kielichem dobywającą się z ognia złotych i tęczowych. Twarzy tej kobiety nie mogłem przypatrzeć się dokładnie, lecz uderzyła mię jakimś przypomnieniem, podobieństwem; po chwili wiedziałem już — jakim — i uczułem się zdziwionym.

Dziwne podobieństwo — myślałem — i przez tłum tańczących nie bez trudności dążyłem ku punktowi, na którym zniknęła mi z oczu. Idąc, myślałem ciągle: dziwne podobieństwo! — a oczyma szukałem sukni koloru *flamme* i śnieżnej orchidei w ognistych włosach. Właśnie z powodu tej sukni i tych włosów można było z łatwością wyróżnić ją z pomiędzy mnóstwa kobiet.

Zmęczona tańcem, szybko poruszała wachlarzem ze strusich piór, białych i osypanych złotemi iskrami. Te złote iskry na wachlarzu, w ruch wprawione, tworzyły dokoła jej twarzy mgiełkę ognistą; światło kinkietu płynęło w jedwabnych draperyach sukni ognistemi strugami; w naszyjniku, kołysanym przez przyśpieszony oddech, błyskały tęczowe ognie; wśród białej twarzy oczy, jak dwa wielkie szafiry, iskrzyły się pod rudemi brwiami. Niepodobna było wątpić, że bawiła się wybornie. Kilku młodych mężczyzn otaczało ją rozgadaniem, roześmianem i widocznie uwielbiającem kołem. Byli to zapewne kandydaci do tańca, kolei swej oczekujący, a tymczasem z wlepionemi w nią oczyma bawiący ją na wysięgi rozmową, która pobudzała ją do śmiechu. Odpowiadała, mówiła, śmiała się.

W gwarze muzyki i rozmów nie słyszałem dźwięku jej głosu — i tylko patrząc na nią zdaleka, rozważałem w myśli: podobna czy niepodobna? Raz zdawało mi się, że tak, drugi raz — że nie. Najprzód — daleko młodsza. Tamta była prawie trzydziestoletnią, a ta, jeżeli ma lat dwadzieścia trzy — cztery, to już najwyżej. Następnie: włosy, cera... Przy jakimś ruchu, który uczyniła głową, aż posunąłem się o parę kroków bliżej: Ona!

A potem zaśmiałem się z samego siebie: Gdzież tam! Trochę tylko podobieństwa w rysach i wzrost ten sam, a zresztą zupełnie inny nawet rodzaj, zupełnie inny typ. Po chwili, gdy opuściwszy na kolana wachlarz, z chwilowem zamyśleniem spojrzała wprost przed siebie, wykrzyknąłem w myśli: jakież zadziwiające podobieństwo!

Ktoś ze znajomych mężczyzn stanął przy mnie i zauważył:

— Przypatruje się pan naszej pani Celinie! Piękna kobieta! Może najpiękniejsza w tem zebraniu. A jaka wesoła! Bardzo miła i wesoła. Oryginalnie też ubrana. Ale ona zawsze coś oryginalnego wymyślić musi. Bardzo wesoła i oryginalna!

Zapytałem o nazwisko. Wymienił je i dodał:

— To żona pańskiego rodaka, a naszego Cyclerona. Czy słyszałeś pan jego oskarżające mowy? Co za krasomówstwo! A jaka logika, argumentacja i kwiecistość. Nadewszystko kwiecistość! Bardzo zdolny i przyjemny człowiek. Gładki i przyjemny. Idzie też prędko w górę i pójdzie jeszcze wyżej, o pójdzie! Nasza pani Celina wkrótce najpewniej w stolicy jaśnieć będzie!

— Czy mogę prosić pana o przedstawienie mię?...

— Ależ i owszem, i owszem! Jestem przecież ich znajomym, bywam u nich... Mnóstwo osób u nich bywa... dom bardzo przyjemny i wesoły... bardzo wesoły! Tylko, że w tej chwili pani Celina wstaje do tańca... zaczekajmy trochę!

Gdy kładła rękę na ramieniu tancerza swego, wzrok jej wypadkiem spotkał się z moim wzrokiem; było to tylko mgnienie oka, po którem uniósł ją wir tańca, lecz w mojej głowie rozległ się znowu wykrzyk: Ona! Po chwili przecież z rzetelną dla samego siebie pogardą ramionami wzruszyłem. Tańczyła z wielką gracyą i zarazem z takim oddaniem się przyjemności tańczenia, z tak pełnem i widocznem uczuciem tej przyjemności, że mogłaby służyć malarzowi za model do muzy tańca. Ta muza tańca i tamta muza melancholii! Przytem te włosy ogniste, ta cera śnieżnej orchidei... Jednak, gdy po ukończeniu tańca usiadła i znowu roztoczyła dokoła twarzy ognistą mgiełkę swojego wachlarza, przypomniałem znajomemu memu daną mi obietnicę.

— Podobala się panu? co? No, nic dziwnego, nic dziwnego. Piękna kobieta, interesująca, i cała nasza młodzież głowy za nią traci...

Po chwili kłanialiśmy się przed nią obaj, i towarzysz mój wymieniał moje imię i nazwisko. Kiedy uprzejmie skinęła mi głową i na twarzy mej zatrzymała oczy, od wesołości i tańca roziskrzzone, pomyślałem: inne, zupełnie inne! Szafirowe wprawdzie i pod długą powieką, ale brwi, rzęsy, wyraz — zupełnie inne! Tak medytując, sterczałem przed nią parę minut oniemiały, z miną najpewniej niemądrą i śmieszną, bo z uśmiechem, przewijającym się po karminowych ustach, zapytała:

— Pan dawno bawi w naszym mieście?

Brzmienie głosu jej usłyszawszy, usiadłem obok niej na niezajętym krześle z szybkością tak piorunową, że towarzysz mój odwrócił się i odszedł, aby ukryć parsknięcie śmiechem; ja zaś, na zapytanie nowej znajomej nie odpowiadając, ze wzburzonego serca nie zapytałem, lecz właściwie wykrzyknąłem:

— Czyśmy się z panią nigdy dotąd nie spotkali?

Zaśmiała się szczerze, srebrnie.

— Jak się pan dziwnie o to pyta! Tak jakoś impetycznie i razem uroczyście! Może pan jest spirytystą i przypomina sobie spotkanie się nasze w istnieniach poprzedzających?

Śmiała się szczerze i — ślicznie, ale ten głos, ten głos, którym mówiła, przypominał mi krótką, lecz tak dobrze znaną i zapamiętaną strofę... więc bystro patrząc jej w oczy, odparłem:

— O istnieniach innych nie myślałem, lecz chwilami wydaje mi się, żeśmy się raz spotkali z sobą na innym świecie.

— A na której z planet? — zapytała.

Po chwili namysłu odpowiedziałem:

— Na polach Elizejskich.

— W Paryżu? — zawołała, i z tak zabawnym wyrazem zaciekawienia szeroko otworzyła oczy, taka przytem dziecinna swawola przebiegła jej po oczach, ustach i całej ruchliwej, delikatnej, śnieżnie białej twarzy, że sam szczerze się roześmiałem.

— Chciej pani przebaczyć oryginalność tego początku rozmowy mojej z panią. Spowodowała ją najdziwniejsza w świecie omyłka...

— Wziął mnie pan za kogoś innego?

— Za kogoś zupełnie innego...

— Czy jestem tak bardzo do tego kogoś podobną?

— Wcale nie... bardzo... podobieństwo to, jak fata morgana, zjawia się i znika...

— A pan ma wielką chęć pochwycić je i utrwalić?

— Wielką, ale to niepodobna...

— Bardzo żałuję. Gdzież były te pola Elizejskie, na których pan spotkał moje drugie ja?

Stało się ze mną w tej chwili niewiadomo co. Oburzyłem się na samą myśl mówienia tu i z tą rudą kobietą, o tem... polu, z którego jakby powiał na mnie dech gorący i smutny.

— Trudnoby mi było w tej chwili o tem pani opowiedzieć...

— Czy rzecz tak zawikłana?...

— Nie: ale chwila tak różna od obecnej...

Wzruszyła ramionami.

— Życie jest splecione z tak różnych od siebie chwil...

Tu, jeden z najświetniejszych w tem mieście młodzieńców, cały iskrzący się od czerwieni i złota munduru, złożył przed nią głęboki ukłon. Wstała, zlekka, lecz uprzejmie skinęła ku mnie głową i, opasana ramieniem tancerza, płomiennosc sukni swej i śnieżność swych ramion w wirze walca zmieszała z czerwienią i złotem jego ubrania.

Wstałem także i, uwiadomiony o przybyciu partnera niecierpliwie oczekiwanego, poszedłem grać w winta. Partya była interesująca, gorliwość moja w grze neoficka, więc wielka, bawiłem się wyśmienicie, o pani Celinie przez dobre parę godzin ani razu nie pomyślałem. Po paru godzinach jednak traf przywiódł mię znowu do sali, w której tańczono. Atmosfera balowa rozgrzała się i roziskrzyła; muzyka zdawała się grać huczniej i skoczniej niż wprzód, ruchy tancerzy były żywsze, rozmowy u ścian głośniejsze, oczy silniej błyszczały, nad tłumem strojnych ubrań, pięknych głów, obnażonych ramion zdawała się unosić w powietrzu leciuchna mgielka, złożona z pyłków, porwanych z ziemi, i woni rozwianych przez suknie. W mgielce tej paliła się, jak płomień, suknia koloru ognistego i dobywało się z niej, jak kwiat przedziwnie biały, popiersie pięknej kobiety. Wkrótce znalazłem się w jej pobliżu. Była słońcem, otoczonym przez mnóstwo satelitów. Powodzenie jej przez te parę godzin wzrosło do rozmiarów prawie bajecznych i wprawiało ją to widocznie w humor rozkoszny. Pływała w atmosferze hołdów, jak ryba w wodzie. W sposobie mówienia jej, śmiania się i poruszania było teraz coś prawie gorączkowego. Zdawało się, że zabawa, ze wszystkimi właściwościami swemi, wydobywa z niej na jaw pierwiastek, którego ognistość jej sukni i włosów mogła być symbolem. Stawała się coraz różowszą na twarzy i żywszą w ruchach, coraz podobniejszą zresztą do całego gatunku kobiet, który i na tym balu także miał sporo przedstawicielek. Piękniejsza tylko od wielu, była jedną z wielu, kokietka hołdów niesyta, z płynącą na dnie lawą wzruszeń erotycznych. Jak mogłem choć na chwilę przypuszczać?... Wtem ujrzałem tego znajomego mego, który mię jej przedstawiał, i wnet wsunąłem mu rękę pod ramię.

— Czy pani Celina niema tu w tem mieście starszej siostry?

— Nic nie słyszałem o jej siostrze. Miała matkę...

— Matkę? — wykrzyknąłem.

— Tak, która umarła... Ale co panu jest? Co się stało?

Stało się to, że od towarzysza, którego przed chwilą zapalczywie pod ramię pochwyciłem, teraz odskoczyłem jak oparzony i z pośpiechem takim, jakby mię kto batogiem napędził, przed panią Celiną stanąłem. Wnet też zapytała mię:

— Pan nie tańczy?

— Nie, pani.

— Jak to można nie tańczyć?

— A pani gra w winta?

— Nie, panie.

— Jak to można nie grać w winta?

— Sprzeczność gustów naszych jest zupełna...

— Ale bawimy się jednostajnie, dobrze...

— To wszystko, czego potrzeba...

— Na balu...

— Czyż tylko na balu? Zawsze! — zawołała i w tej samej chwili wstała, aby z kłaniającym się przed nią tancerzem stanąć w kole jakiegoś formującego się tańca.

Ostatni wykrzyk jej sprawił mię w zamyślenie. Dobrze bawić się, to wszystko, czego potrzeba nietylko na balu, ale zawsze! Tak powiedziała i zdawało mi się, że przy tych słowach w szafirowych źrenicach mignął błysk ironiczny. Ale musiało mi się tak zdawać; nie wiem zresztą, zawołano mię z powrotem do kart. Zasiadając do winta, myślałem jeszcze: „Matka! wielkie rzeczy! Mnóstwo kobiet posiada matki i mnóstwo matek umiera. Jestem śmieszny i powinienbym raz przecie zdobyć się na zupełnie zdrowy rozsądek!”

Wieczereę zastawiono w sposób bardzo elegancki i oryginalny, bo na mnóstwie niewielkich stolików, przy których każdy umieszczał się z kim chciał, w kółku nielicznym, lecz najmiłszym. Największy gwar rozmów, śmiechów, toastów panował dokoła stolika, przy którym znajdowała się pani Celina, lecz ja ani razu nie obejrzałem się nawet w tę stronę, usiłując bardzo przyjemną i przyzwoitą rozmowę prowadzić z miłymi paniami i pięknymi damami, siedzącymi w sąsiedztwie mojem; a tylko nie wiedzieć poco, dlaczego, skąd? — ilekroć uszu moich doszedł dźwięk jej głosu, po głowie, wśród słów i zdań całkowicie innego sensu i innej natury, przelatywały mi słowa: „Gonisz szczęście przez lasy, przez góry, a ono od ciebie za dziesiątą granicę”... Albo jeszcze: „Człowiek jak koło: w którą stronę popchnięty, w tę toczy się, choć po grudzie, albo po gołym stepie”... Albo po szampanie! Szampan rzeką lał się. Korki stukwały, kielichy dzwoniły. Od stolika p. Celiny dochodził gwar coraz weselszy, krzykliwszy, zapewne i dowcipniejszy, bo kilka stolików połączyło się we wspólnym śmiechu. Wstawano tam z krzesel i siadano znowu, płatano czy układano jakieś figle, dosłyszałem coś o kotylionie i wyraz ten długo plątał się wśród hucznych rozmów.

Po wieczery nie grałem już w karty, ale przypatrywałem się grze innych, studiowałem sztukę na wzorach żyjących, kształciłem się, w czem trochę roztargnienia sprawiał mi tylko mąż p. Celiny, mistrz w sztuce, którą ja zgłębiać zaledwie zaczynałem, a dla gładkiej i ozdobnej wymowy swej, powszechnie w tem mieście Cyceronem zwany. Widywałem go już i przedtem, ale uwagę zwróciłem na niego po raz pierwszy. Był podobnym do swej wymowy, tak jak ona gładkim i ozdobnym. Więcej młody niż stary, więcej przystojny niż szpetny, nie był przecież ani takim, ani takim. Rysy młode, ale wyraz ich stary; blask oczu za szklami okularów silny, ale zimny. Szpeciła go zaś suchość twarzy i przykra połyskliwość policzków, zbyt starannie wygolonych, a zdobiła wzamian niezmierna elegancja ubrania i ogromna poprawność układu. Na tem tle nieco chłodnem znajdowały się obficie rozrzucone kwiaty uśmiechów grzecznych, skinięń głową pełnych uprzejmości, komplementów wypowiedzianych zawsze w porę, zawsze w doskonały takt z osobą i okolicznością, do których się zwracały. Właśnie w chwili paury pomiędzy dwoma robrami, kiedy jednemu z partnerów swoich o czemś powoli, gładko, kwieście opowiadać zaczął i z okrągłym ruchem ręki, która mignęła złotym błyskiem kosztownej spinki u mankieta, wypowiedział frazes, w którym zamigotał dowcip, — przyskoczył do niego ktoś roześmiany, rozczzerwieniony, rozbawiony, tak śpieszący, że aż prawie zziąjany z pośpiechu, z wołaniem:

— Pan tu sobie wintujesz i wintujesz, a nie wiesz, co tam w sali żona pańska dokazuje! Ot, wesola kobieta! I dowcipna! Umierać ze śmiechu! Damy za mężczyzn, mężczyźni za damy! Wprost umierać ze śmiechu! Chodźcie zobaczyć! Chodźcie!

Ponieważ działo się to w czasie paury pomiędzy robrami, gracze powstali i w kierunku sali do tańca pociągnęli. Na suchej i połyskliwej twarzy Cycerona rozlewał się uśmiech ukontentowany, może nieco lekceważący; ten zaś, kto z wieścią i wezwaniem przybiegł, w drodze objaśniał:

— Uparła się sama prowadzić kotyliona... i prowadziła, no! aż wszyscy dech tracili; ale najlepsze to już na koniec wymyśliła. Oho, filutka! Pewno z gospodarzem w znowie, bo skądżeby od razu tyle czepków? Czapki i kapelusze to od mężczyzn pobrali, ale skąd czepki? A jak oni w tych czepkach wyglądają! Umierać ze śmiechu! wprost umierać...

Sala do tańca przedstawiała istotnie widok tak niezwykły, że na pierwszy rzut oka trudno było zrozumieć, co się tam działo: jarmark? maskarada? najście cyganów, czy karnawału ulicznego? Paryska *cour des miracles*, czy roz hulana trupa operetkowych ar-

tystów? Na głowach kobiecych kapelusze męskie formy cylindrowej, czapki wojskowe z kolorowymi opaskami, czapki futrzane małe i ogromne, a na głowach męskich czepce kobiece, duże, białe, z szerokimi garniowaniami, z olbrzymimi kokardami na brodach. Oprócz tego mężczyźni w kobiecych pelerynach i mantylach, kobiety zaś z męskimi laskami i parasolami w rękach. Ze zmianą ubiorów postacie i poruszenia uległy zmianie. Plecy mężczyzn pod pelerynami i mantylami przygarbiały się, nabierały pozoru żebraczego, a kroki ich były zdrobniałe, podskakujące; kobiety przeciwnie, chodziły i poruszały się zamasyżście, w sposoby najrozmaitsze manewrując laskami i parasolami. Kilka parasolów było rozpiętych w całej szerokości, jak od ulewnego deszczu; kilkadziesiąt wachlarzy, wśród przedziwnych wykrzywiał głów i postaci, poruszało się przed wąsatymi twarzami, ujętymi w ramy czepków. Wszystko to ujrzałem zrazu w zamieszaniu i bieganinie jakiejś kończącej się już figury kotylionowej, aż tuż przedemną zaszumiała i przebiegła fala ognistej sukni: pani Celina, w przechylonym nieco na bok cylindrze, z laską, jak buławą, obróconą w górę nagłówkiem, psią głowę wyobrażającym, bardzo głośno wykrzyknęła:

Valse!

Wykrzyk to był skutek podniesienia głosu tak wycieniony, że wświdrowywał się w uszy nutą piskliwą. Kilka innych głosów kobiecych, temu z pomocą przybiegając, w podobny sposób ten sam wyraz powtórzyło; muzyka z innej jakiejś melodi wpadła w melodyę walca i około stu par poczęło się obracać dokoła sali, zrazu zwykłym tempem walcowem, lecz bardzo prędko z pomiędzy tańczących strzeliły te same, co pierwszej głosu wyteżone, wycienione, piskliwe, wołające do muzyki:

— Prędzej! prędzej!

Wtedy stało się coś szalonego, coś przypominającego ilustracje do bajek czarodziejskich i zabawnych. W muzyce nuty wlatywały na nuty, takty wskakiwały na takty, a w wien-
cu tańczących, par pojedynczych rozróżnić było już niepodobna; zlał się on w jedną masę wirującą, kotlującą, migocącą ubiorami najdziwaczniejszymi, twarzami, zalanymi szkarłatem i potem. Laski sterczały na wszystkie strony, peleryny miotły się jak wściekle, cylindry opadały prawie na oczy, czapki futrzane wyglądały, jak porwane w taniec kosmate grzyby, czepki wykrzywiały się nad wąsatymi twarzami, rozpięte parasole wirowały... Sarabanda, sabat, obrzędkowy szal konwulsjonistów. Widzowie, stłoczeni w drzwiach i pod ścianami, śmiali się głośno, co z grzmotem hucznej muzyki, z szelestem stóp tańczących, z okrzykami rozweselenia i podziwu wytworzyło rodzaj wielotonnego krzyku, prawie ryku. Długo przecież trwać to nie mogło, bo tańczącym nie wystarczyło sił, płuc i mięśni; to też wkrótce rozległ się ten sam, co wprzód, głos niewieści, od wyteżenia i wycienienia aż uszy świdrujący:

— Wszystkie pary na swoje miejsca!

W mgnieniu oka rozkaz spełnionym został, i przez minutę jakąś wieniec par porozdzielanych w nieruchomości zupełnej otaczał wielką salę. Wszystkim tchu brakowało. Wszystkie piersi ciężko i głośno pracowały. Po wielu twarzach pot strumieniami spływał, inne płonęły w rumieńcach krwistych. Do ostatnich należała pani Celina, której ognista suknia była punktem przyciągającym wszystkie oczy. Białosc twarzy jej zniknęła pod falą krwi, która od brzegów wykrzywionego na czole cylindra rozlewała się aż na szyję, dokoła której brylanty, miotane oddechem przyśpieszonym, wydawały się wężem, wyrzucającym z łusek ognie tęcze. Oczy jej wyrzucały blaski wesołości rozszalałej. Gorzała cała w sukni swej, we włosach ognisto-rudych, w rumieńcach, w brylantach i w szale zabawy. Podniosła wysoko nagłówek laski z psią głową, wyrzeźbioną w słoniowej kości i wykrzyknęła:

— Damy przed panami na kolana!

Postacie, mające czepki na głowach, z dużym stukiem kolan popadały na klęczki, a te, które były w cylindrach i czapkach męskich, z laskami, trzymanymi jak berła lub strzelby, podały im do pocałowania ręce, nad którymi też, przygarbiając plecy pod pelerynami, pochylili się twarze wąsate w garniowaniach i kokardach. U ścian i we drzwiach sali potoczył się grzmot oklasków.

— Brawo! brawo! brawo!

I w tejsze chwili huknęły pistoletowe wystrzały odkorkowywanego szampana. Panią Celinę tak zewsząd otoczono, że zniknęła mi z oczu zupełnie. Odszedłem też do innych salonów, po drodze spotkawszy się wzrokiem z gładką i połyskującą twarzą Cycerona,

który mile uśmiechał się wązkiemi wargami, a w oczach, osłoniętych szklami okularów, miał blask i wyraz zadowolonej dumy.

Co do mnie, to czułem się przeciwnie w humorze wprost fatalnym. Jakże mogłem choć na chwilę przypuszczać, że ta i tamta... Nazywałem siebie w myśli idiotą i doświadczałem niejasnego, ale przykrego uczucia, jakby bluźnierstwa popełnionego, jakby straty niepowetowanej...

Bał zresztą był już skończony. W paltocie i z kapeluszem w ręku zmierzałem ku schodom, gdy ktoś, dla kogo musiałem być pełnym uszanowania i względów, zatrzymał mię rozmową, zarówno uprzejmą jak nudną. Wtedy to, razem z falą mnóstwa mężczyzn i kobiet, przesunęła się obok mnie p. Celina w gronostajowym *sortie de bal*, wsparta na ramieniu męża. W parę minut po tej parze szła druga, głośno ze sobą rozmawiająca. Kobieta zapytywała mężczyznę:

— Jakże ci się ona podoba z włosami na rudo pomalowanymi?

— Bardzo jej z tem do twarzy. To dobra moda, to malowanie włosów.

Para rozmawiająca przeszła, lecz z innej strony doleciały mię słowa:

— Do rudych włosów trzeba twarzy bardzo białej...

— To też i bielidło...

— Prześliczna dziś była! Nie gadajcie! Zazdroście jej wszystkie! Na rudo jest jeszcze piękniejszą, niż na czarno.

Jakby mina podemną wybuchnęła, tak porwałem się z miejsca i, o wszystkich względach zapominając, w połowie frazes wypowiedany przerywając, zacząłem zbiegać z marmurowych schodów. Wrzała we mnie jakaś głucha i posępna złość. Pięście ścisnąłem, jakbym pragnął coś w nich zmiażdżyć i zdruzgotać. Pragnąłem dogonić, dokuczyć, zranić...

Do wspaniałego przedsiönka wlewało się przez wielkie okna białe światło świtu, blask lamp czyniąc złotym i mętnym. U dołu schodów Cyceron prowadził z kimś rozmowę ożywioną i przyciszoną. On i jeden z dygnitarzy miejscowych korzystali znać ze spotkania, aby pomówić o czemś ważnym i pilnym. Kobieta w gronostajowej mantyli, z obłokiem białej gazy na ognistych włosach, w oczekiwaniu na męża stała u samego okna. Przedsiönek był już prawie pustym. Przez chwilę, zatrzymawszy się u dołu schodów, patrzyłem na nią. Widziałem ją z profilu. Kotylionowe rumieńce zniknęły z niej bez śladu, sztuczna białość miała pozór kredowy i martwy. Ciemne obwódki, dokoła oczu powstałe, rzucały na twarz wyraz chmurny i chory. Na tle szyb lustrzanych, w białym świetle świtu, cała postać uderzała zwiędłością i postarzeniem. Oczy wznosiła w górę, ku gżemsom przeciwległych dachów, nad którymi po zimowym błękiecie nieba przepływały obłoki, zaróżowione od wschodzącego kędyś słońca. Przez chwilę patrzyłem na nią, poczem z tem samem wciąż uczuciem głuchego i bolącego gniewu zbliżywszy się, tuż za nią stanąłem. Była tak zapatrzona w górę i zamyślona, że zbliżenia się mego nie spostrzegła. Pochylony nad nią, przyciszonym głosem mówić zacząłem:

— Kiedy u nas o zmroku na Anioł Pański dzwonią...

Ani przelękała się, ani zdziwiła. Jakby spodziewała się zobaczyć mię przy sobie, jakby słowa, które wymówiłem, trafiły na myśl jej, tę samą, czy pokrewną. Podniosła na mnie zamyślane oczy i z resztką balowej wesołości uśmiechem wijącą się po ustach, głosem, dźwięk dzwonów naśladowującym, odpowiedziała:

— Dzę — dzę! Dzę — dzę!

Głos miała ochryply i oczy pełne łez.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kiedy-u-nas-o-zmroku>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0622-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).